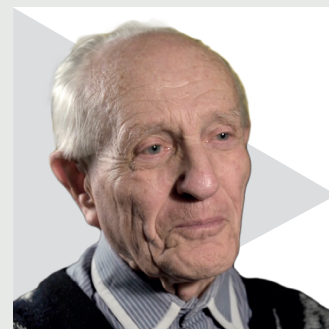




## Mieczysław Chojnacki

część V z VII

Sygnatura notacji: **N0867**  
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**  
Data nagrania: **11.02.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**  
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86, cz. VI: 55, cz. VII: 68**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Tomasz Sudoł:** Panie kapralu podchorąży, jak pan chciał, tak mówię. To byśmy zaczęli od... Przeszlibyśmy do tej części działalności pana bojowej. Czyli po podchorążówce. Zapytam się, kiedy zdobył pan broń? Kiedy pan dostał czy skąd...

**Mieczysław Chojnacki:** Kiedy dostałem prawdziwą broń? Prawdziwą broń dostaliśmy... to muszę się zastanowić, bo dostaliśmy... bo dostaliśmy, już jak byłem tym starszym szeregowym podchorążym, to znaczy gdzieś to musiała być zima 1943-1944, dali nam trzy Steny. Trzy Steny nam dali. Przyszedł ówczesny dowódca placówki, czyli kompanii, to był Trąbczyński. Tronowski. Też oficer rezerwy w urzędzie skarbowym. On powiedział, że mam... chyba któryś z nas, nie pamiętam, który z tej naszej czwórki, ktoś i ja, mamy z nim iść na nastawnię. Ta nastawnia szerokotorowej kolei, która łączy Legionowo z Tłuszczem przez Radzymin, to była w 1936 roku wybudowana ta jakaś strategiczna linia omijająca Warszawę i przyjechał nawet po odbiór obejrzeć to Rydz-Śmigły z generalicją. A przechodzili taką, jak tam ten kolega, co ma napisane, nie wiem, jak początek. Więc przechodziło parę kroków ode mnie, a byłem takim łebkiem 13-letnim, to mnie to bardzo ciekawiło. I koło niego taki ten mały generał Trojanowski, taki do ramienia Rydzowi, w każdym razie w tej nastawni, ona w czasie okupacji taka jakaś była jakby nieczynna i myśmy tam weszli we trzech, i czekaliśmy może z pięć minut i z mroku, z ciemności, bo to było już ciemno, wyłoniło się dwóch, też szli na nastawnię. I któryś z naszych, to prawdopodobnie ten nasz komendant Tronowski zatrzymał ich, kto idzie, odpowiedzieli, że z oddziału Danowskiego przekazać broń. Podeszli do nas i przekazali nam trzy Steny, i zniknęli tak, jak przyszli. I mieliśmy trzy Steny. Do każdego były trzy magazyny załadowane amunicją i chyba jeszcze po paczce 50 sztuk amunicji do Stenów. I to była pierwsza broń, taka oficjalna. A nieoficjalną też mieliśmy, ponieważ trzech,

czterech może z Radzymina akowców pracowało na kolei gdzieś w rejonie Legionowa. I oni, jak już był front sowiecki, to kradli z wagonów broń sowiecką, zabierali. Niemców się tam zabawiało, oni tam mniej więcej znali tych wartowników, takich niemieckich, co pilnowali, szczególnie Niemcy byli bardzo łakomi takich świństek. To im tam zmyślali, różne głupoty opowiadali, oni się cieszyli, a drudzy szli i wyciągali tam. Ale nie znali dobrze tej broni jeszcze ci z drużyn, bo na przykład jeden do mnie mówi, taki akowiec, starszy szeregowy, Kucharski się nazywał, on miał pseudonim „Boruta”. Już 35 lat miał. I mówi do mnie, że: „Jeden to miał taką dziurę z boku, to go nie brałem”. Ja mówię: „Słuchajcie, to był pistolet maszynowy. Tu trzeba było przede wszystkim...”. „Cholera - mówi - nie wiedziałem.”, karabin wziął. Dopiero się uświadomił, że tam Pepesza nawet była. Takie było tam w wagonie składowisko tej broni, to oni mało co wzięli. Wzięli dwa karabiny, bo mieli takie rury odpowiedniej długości, jakby ściekowe z dachu takie metalowe rury i tam to ładowali, i tam to jakoś przynosili nocą do Radzymina, a koło cmentarza w Radzyminie przygotowaliśmy jeden grobowiec na magazyn broni. I tam trzeba było od przełomu 1943-1944 roku chodzić co tydzień, dwóch chodziło czyścić, a dwóch pilnowało i już ze Stenami uzbrojonymi. Jeden w stronę miasta, a drugi w stronę przeciwną, a potem się zastawiało płytą taką z nazwiskami i byliśmy już we władaniu, już ubezpieczeni przez tych dwóch. Nie było niebezpieczeństwa. Niemcy po nocy nie chodzili. Straż chodziła, a straż to było AK. Straż pożarna. To najwyżej „Cześć.” powiedzieli, jakby tam kogoś spotkali. Szereg razy tam byłem, bo przecież do akcji „Burza” było przeszło pół roku i co tydzień tam iść. Była wilgoć i trzeba było z tej wilgoci oczyścić, bo by rdzewiało. To nam gdzieś chodziliśmy około 12:00 do tego grobowca, na zmianę, po dwóch za każdym tam wyjściem. Oczyściło się to mniej więcej w pół godziny. Potem się pukało w tę płytę, oni odstawiali, łączyło z powrotem. Tak że zabierało się od nich tę broń nieczyszczoną i znów, bo oni musieli czymś ubezpieczać. Co tam były, dwa karabiny sowieckie i trzy Steny. I trochę granatów. To była taka broń, którą się brało do szkolenia. I to było w obowiązku nas czterech, utrzymać to w porządku. Najpierw próbowali, jak tam weszło dwóch, bo był pierwszy raz z nami, mówiłem, Tronowski, ten komendant placówki ówczesny, to próbowali tam odlutować tę trumnę metalową, była tam trumna metalowa, ale jak zrobili otwór, to trzeba było z powrotem to szybko zalutować, bo by nie wytrzymał, wiadomo, co. W tym długo zwłoki się widocznie rozkładały. I trzeba było pojechać, i zrobić drewnianą skrzynię, którą się chowało za tą trumną. I w tej skrzyni ta broń była przechowywana i amunicja. Ale obowiązek taki dodatkowy był.

**Tomasz Sudół:** A tę broń, pan powiedział, że wykorzystywał pan do szkolenia tej drużyny?

**Mieczysław Chojnacki:** Właściwie do szkolenia nie tylko tej drużyny, ale w ogóle roczników, wybieranych z drużyn ludzi, które... Bo w drużynie mogło być kilku ludzi przeszkolonych, nawet frontowców, nawet szeregowych. Jak był szeregowy z września, to był sekcijnym. Nie musiał być starszym szeregowym. Już wiadomo było, że to był żołnierz ostrzelany. I z pewnym doświadczeniem.

**Tomasz Sudół:** I tym się pan zajmował, tak? A oprócz tego...

**Mieczysław Chojnacki:** To było nas właśnie czterech, tych podchorążych, to nam to komendant placówki powierzył nad tym pieczę. I więcej nie ingerował, bo wiedział, że to w porządku utrzymujemy. A gospodarstwo przez ulicę sąsiednie, to było „Jura” rodziców i myśmy się tam zbierali, i potem po dwóch na cmentarz, o północy, to już się kto kręcił tam. Tylko strażacy, a do strażaków to nie należało strzelać, bo oni sami byli ciekawi tego. Tak że na ogół

to przebiegało bez incydentów. Raz tylko byliśmy zaniepokojeni, ponieważ było nas trzech. Jeden był nieobecny, „Jur”, ten, który mieszkał przez ulicę i mieli tam gospodarstwo, to nas pilnował. Ale w pewnym momencie zaczął padać deszcz i on zapukał, oddał nam pistolet maszynowy i powiedział, że pójdzie na chwilę przebrać jakiś płaszcz nieprzemakalny. I myśmy zostali bez ubezpieczenia w tym bunkrze, w tym grobie. A przy deszczu, troszeczkę padał deszcz i ta atmosfera taka była, powiedziałbym, trochę nadzwyczajna, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że no co zrobimy, jak tu zajrzy ktoś w pikielhaubie. I mieliśmy przygotowane dwa empiki, i w razie czego, jakby ktoś nie zapukał w odpowiedni sposób, to od razu mieliśmy strzelać i ewentualnie granaty wyrzucać. To było wszystko bardzo takie ryzykowne. Byliśmy bardzo poddenerwowani. Wyobraźnia zaczęła pracować, bo to trzeba tam było z pół godziny siedzieć albo więcej przy karbidówce świecącej i pracowały korzenie drzew. Potem sobie to skojarzyłem. Robiło to wrażenie, jakby ktoś w pobliżu chodził. Jeden stał z pistoletem maszynowym na wszelki wypadek, a drugi czyścił. Dopiero, całe szczęście, że „Jur” był ostrożny. Zapukał w odpowiedni sposób, powiedział: „Jestem już na miejscu”. To dostał z powrotem tę broń i skończyliśmy jakoś uspokojeni tę robotę i wyszli z tego więzienia. Co tydzień to było dosyć uciążliwe, o północy tam być z godzinę czasu i przychodziło się do domu jakoś, i taki sen był skrócony.

**Tomasz Sudół:** A jeszcze jakaś... W tym czasie pan jeszcze jednocześnie szkolił tych swoich, tych młodszych dowódców.

**Mieczysław Chojnacki:** Tych młodszych dowódców. Tak. Cztery razy w tygodniu. W jedno miejsce to chodziliśmy tak nie często, ale tak trochę zawstydzeni. To było u państwa Prężynów. Oni mieli sad ładny i jeden był z tego mojego kursu. Czasem w ich domu się to odbywało. I jak prowadziłem tamte wykłady, to chłopcy z zaciekawieniem na ogół to przyjmowali, ale drzwi się uchylały po zapukaniu i taka ręka niewiadomej osoby wsuwała taką paletkę z ciastkami domowej roboty. To pewno była jego mama, tego kolegi. On miał pseudonim „Kaczor”, Prężyna nazwisko. I my w bezczelny sposób pożeraliśmy to za każdy raz.

**Tomasz Sudół:** Po to było.

**Mieczysław Chojnacki:** I tak gdzieś raz w miesiącu to u niego się odbywało. To taka jedna ciekawostka, byli bardzo gościnni i stosunkowo może nie odczuwali tak biedy, jak mieli sad, mieli warzywa swoje i to taka była mniej więcej, no może ze 20 arów, 25, ta działka ładnie zadrzewiona, róże, kwiaty rozmaite, wszystko było zadbane. I tam przebywali z tego oddziału specjalnego, bo to już 1944 rok był, Danowskiego, przebywało jeden lub dwóch tam i tak po mieście byli po jednym, po dwóch rozmieszczonych w domku kapitana, takim przy szosie do Wołomina, to przy drodze do Kraszewa tam u nauczycieli, takich Cichockich. I nawet tam kwaterowali czasowo, gdzie ja kiedyś prasę odbierałem, u państwa Matuszewskich też. Radzymin był dosyć dobrze zakonspirowany, bo tam właściwie nie aresztowano nikogo. Nie słyszałem w czasie. W jednym przypadku to była interwencja, ale to był pijany i się wygłupił. Taki ciekawy był dosyć przypadek. Bez takich ofiar, prócz łapanek do Niemiec, to na ogół nie było, nie przypominam sobie, z wyjątkiem paru trupów, takich szpicli różnych i to załatwiał ten oddział, w którym potem byłem w czasie akcji „Burza”.

**Tomasz Sudół:** Zaraz do tego dojdziemy. A chciałem się zapytać, czy uczestniczył pan już wówczas w jakichś akcjach

bojowych?

**Mieczysław Chojnacki:** To znaczy akcje takie nocne, patrolowe to były, odkąd była ta szkoła podchorążych. One polegały na tym, żeby czasem ktoś tam... Jedną rzecz pominąłem. Wtedy był dobry obyczaj po wsiach, tak zwana stróża. Wiecie, co to stróża? To od wieków to była taka tradycja, że jak gospodarz wiedział, że dwa domy dalej już stróża jest i idzie w jego stronę, co noc inny otrzymywał taki rzeźbiony kij wieloletni i jak tylko przychodził sąsiad, wręczał gospodarzowi czy gospodyni to, to już było wiadomo, że noc ma zarwaną. I się zbierał. To syna wysyłał dorosłego albo sam był, jeśli był młody jakiś żołkoś, musiał sam iść i we trzech chodzili po wsi. Oficjalnie - ochrona przeciwpożarowa. W razie czego to wszczynali alarm i zawiadamiali straż pożarną. W razie jakiejś awantury to oni byli na miejscu. W razie jakiegoś niebezpieczeństwa. I to była stróża. I to komuna zlikwidowała po setek lat istnienia tego. Myśmy na taką stróżę napotykali, ale to tylko się powiedziało: „Cześć, cześć.” i się szło dalej albo się pytało, czy we wsi się ktoś podejrzany nie kręci albo coś takiego. I w takich patrolach brałem dosyć często udział, bo taki był obowiązek po kolei nakładany na poszczególne drużyny, powiedzmy, w kompanii tam były pod koniec, to znaczy, już w 1944 roku trzy plutony na 5300 mieszkańców Polaków. To były dwa plutony akowskie i jeden, który się od tych narodowych sił zbrojnych przyłączył, ale to był dwudrużynowy pluton, około 50 ludzi. Ten mój pluton drugi, akowski, bo to był trzeci pluton narodowców, ale nasz pluton też miał około 50 ludzi. Moja drużyna miała skład jeden dziesięciu, a powinna mieć jeden osiemnastu, chociaż były i większe drużyny, liczniejsze. Bo dopiero też się uzupełniała.

**Tomasz Sudół:** Szkieletowa taka.

**Mieczysław Chojnacki:** Taka była szkieletowa.

**Tomasz Sudół:** A pan był dowódcą tej drużyny?

**Mieczysław Chojnacki:** Ja byłem dowódcą tej drużyny jako starszy szeregowy podchorąży.

**Tomasz Sudół:** No tak, bo był pan przeszkolony.

**Mieczysław Chojnacki:** Tak. I wszyscy inni, ciekawie jak potem sporządziłem, z panem Strykiem, takim młodym też zbieraczem, chyba z 50 lat ode mnie młodszy, do dziś dnia utrzymujemy kontakt i właśnie tam... ale mi to uciekło, co chciałem o tym Stryku powiedzieć.

**Tomasz Sudół:** Dobrze, to jedźmy dalej. Jakiś spis pan sporządził.

**Mieczysław Chojnacki:** Słucham?

**Tomasz Sudół:** Jakiś spis pan sporządził. To może...

**Mieczysław Chojnacki:** Aha, aha. I tam taka była opublikowana książka, że ta placówka radzymińska w dokumentach. I tam były dokumenty z kilku, co zrobiłem ze Strykiem, warszawskich archiwów, między innymi było w Rember-

to wie takie archiwum wojskowe, z obu stron tam, w jednym budynku były dwa, jedno historyczne archiwum a drugie wojskowe. To te dwa. Potem tam Archiwum Akt Nowych, też ze Strykiem pracowałem tam około takiego bazaru.

**Tomasz Sudół:** Tak, tak. Tam na Banacha.

**Mieczysław Chojnacki:** No. I potem w tym Nowym Dworze też tam jakiś czas w takim lokalnym. I stąd nagromadziło to, że w tym były takie ciekawostki. Mianowicie wszyscy w całej Polsce, dowódcy plutonów musieli raz na kwartał i dowódcy kompanii, dowódcy placówek, składać raporty stanu w jego placówce. To znaczy organizacyjnie. Więc to było na takich... w archiwum na takich kartonikach wydrukowanych i tam się zapisywało. Plutony były, jednostki były plutonami. I tych plutonów na początku było 26, a przed samym Powstaniem 57 w obwodzie. Koło 3400 ludzi w plutonach liniowych. I kto służył w tych plutonach liniowych, i miał dobrą opinię, to jemu się zaliczało i rzeczywiście po tym wszystkim, jak tutaj tak złagodniało, to mi cztery i pół roku doliczyli do wysługi lat. A oprócz tego dziesięć lat więzienia doliczyli, czyli mnie do wysługi lat, do 32, doliczyli 14 lat. Mam 46-47 lat wysługi do emerytury. I co tutaj trzeba dalej kontynuować, tylko tak proszę mi przypomnieć.

**Tomasz Sudół:** Dobrze, to wróćmy, ja się podpytam dalej o tę konspirację, bo to w 1944 roku miał pan drużynę i dowodził pan drużyną.

**Mieczysław Chojnacki:** Tak. Taką jeszcze niepełną. I drugi kolega też. Ten „Jur”, też miał coś o jeden większą. Bo pierwsza drużyna była w takim składzie gdzieś do 20 ludzi, w tym plutonie, a w pierwszym plutonie zorganizowanym to on miał około już 60-paru ludzi, bo pluton powinien mieć jeden 68, bo wchodziła tam jeden sześciu jeszcze sekcja granatników. Dwa granatniki albo trzy. To w jednych dywizjach było różnie.

**Tomasz Sudół:** A niech mi pan powie, bo w tym momencie pan miał przydzieloną jaką broń? Pan miał stena, tak?

**Mieczysław Chojnacki:** To nie ja miałem przydzielone, tylko w magazynie tam była i ona służyła do szkolenia roczników w całej placówce, czyli w całej kompanii jakiś był system, nakaz, że możecie wziąć. Możecie wziąć, jak się zgłaszało. Ale myśmy mieli to w swojej opiece. I możliwe było, tak uzgadnialiśmy między sobą, że powiedzmy, w tym tygodniu ty tam będziesz brał te steny, a w przyszłym tygodniu ja albo ty jeden, ja jeden. Bo chodziło o szkolenie.

**Tomasz Sudół:** Rozumiem. A miał pan wówczas broń osobistą czy jeszcze nie?

**Mieczysław Chojnacki:** Nie.

**Tomasz Sudół:** Nie?

**Mieczysław Chojnacki:** Nie.

**Tomasz Sudół:** I teraz dochodzimy już powoli do tego czasu przed akcją „Burza” tak naprawdę, tak?

**Mieczysław Chojnacki:** Tak. Jak to wyglądało, jak wyglądały przygotowania do akcji „Burza” na tym terytorium?

**Tomasz Sudół:** Do akcji „Burza”... to była taka wzmożona działalność gromadzenia wszelkiego, zaopatrzenia. Bo w całym obwodzie radzywińskim było, jak powiedziałem, 57 plutonów, w tym 46 wiejskich, a 11 miejskich. Tam było już, jak to się mówi, chłopskie wojsko. Takie chłopaki były twarde jak orzechy. I dużo było tam wrześniowców. I oficerów ze wsi. Takich niższych stopni. Chociaż taka jest wieś Ślubów i obok niego tam jeszcze inna, to byli nawet porucznicy artylerii zawodowi, po wsiach, taka jedna rodzina, którą tam potem życiorysy ich spisywałem gdzieś ze 20 parę kilometrów od Radzimina, ale w tej chwili znam dobrze to... O, Urbaniak. Tylko że było ich czterech i wszyscy służyli w polskim wojsku, i było dwóch oficerów. To było duże gospodarstwo. Piąta była siostra, też w AK. Oni już byli mi niedostępni, tylko od syna jednego z nich zebrałem informacje o tej rodzinie, a obok mieszkała ciotka, siostra najmłodsza tych czterech, to poszedłem, to się bała rozmawiać.

**Tomasz Sudół:** Była wówczas jakaś broń... Było więcej broni, czy było jakoś to tak, nie wiem...

**Mieczysław Chojnacki:** Więc ta broń to była przeznaczona do ćwiczeń, a kiedyś wspominałem, że u kowala Michalskiego pod kowadłem był magazynek broni i nie miałem informacji innych, bo to była konspiracja. W każdym razie jak nastąpiła akcja „Burza”, to zmobilizowano z 4 tysięcy ludzi, zmobilizowano 870 osób i nie każdy miał broń odpowiednią. Niektórzy to czekali, aż przyjdzie jego kolej. Albo jak będzie jakaś zdobycz, bo rzeczywiście była. Tak że pod koniec akcji „Burza” to rzeczywiście na ogół, można powiedzieć, wszyscy mieli jakąś tam broń.

**Tomasz Sudół:** A jak wyglądało pana uczestnictwo w akcji „Burza”?

**Mieczysław Chojnacki:** W akcji „Burza” to w ten sposób, że oddelegowano mnie na jakieś dwa, trzy tygodnie przed akcją „Burza” tutaj w Radziminie, ona miała wybuchnąć 26 lipca, była przygotowana. Więc ja gdzieś znalazłem się w drugim plutonie dywersyjnym, którego komendantem był dawny peowiak, artylerzysta, właśnie starszy ogniomistrz, „Wybój”. Był to mężczyzna wtedy 44-letni, silnej budowy, średniego wzrostu i choleryk. Trzeba było uważać, bo był bardzo ostry. I ten „Wybój” został stracony na Mokotowie. Jest jego nazwisko, Marcinkowski Józef. Jest jego nazwisko, w 1952 roku, 2 kwietnia został stracony, czyli to już minęło 62 lata. Więc o akcji „Burza”. Ja poszedłem, zostałem odkomenderowany do „Wyboja”, do tego drugiego plutonu dywersyjnego, bo to był drugi rejon po nowym podziale tych placówek. I tam przyszedłem na czas, ale po silnej akcji. Mianowicie grupa „Wyboja”, około 15 ludzi i grupa bechowców, około 25 ludzi uderzyli na posterunek wlasowsko-niemiecki w Klembowie Ostrówku. W momencie, kiedy tamci dostali zaopatrzenie miesięczne, to znaczy konserwy, papierosy, wódkę i tak dalej. I tam było czterech podoficerów niemieckich, i 17 czy 18 wlasowców, sowieckich żołnierzy, którzy poszli, których dowódcą był taki generał Własow, który uciekł z rzezi tej, którą oni swoim oficerom urządzili. I właśnie oni podeszli zagajnikiem o dziesięć metrów od drewnianej willi, nazywanej willą Ritla. Na ogół oddział „Wyboja” ubezpieczał i zdjął posterunek z mostu kolejowego, złożonego z dwóch i ich przyprowadził za kark, tych... I od nich wymusił hasło. Do budynku od zagajnika było 10 metrów i tylko płotek taki niezbyt z siatki, ale taki pilnowany przez wartownika. Zbliżyli się do wartownika, dwóch krzepkich chłopaków, za gardło chwycili, że nie pisnął słowa, bo powiedzieli hasło, tam ktoś się... ten, co został, to hasło zdradził. I jak tak, to grupa uderzeniowa poszła w werandę i wtargnęła do sali rozrywki, gdzie oni pili

wódkę i bawili się. Tam na miejscu zabito trzech oficerów, a jednego ciężko zraniono. A własowcy podnieśli ręce nad stołem i prosili o litość. To ich rozbroili, był cały budynek obstawiony przez chłopaków, w tym uderzeniu tam kilku od „Wyboja” brało udział, ale oni robili, mówiłem, inną funkcję pełnili. Zaczęli ich wyprowadzać i poustawiali pod szczytem, kordonem ich otaczając, i tamci stali jakiś czas z rękoma do góry. Tak mi opowiadano, bo zaznaczyłem, że nie byłem wtedy tam, bo to tylko godziny mnie od tego odłączyły. I proszę was, tego rannego Niemca wynieśli, i co, trzeba go rozstrzelić. „Wybój” był takim jakby dowódcą tego zgrupowania, bo najstarszy stopniem i jeden się zgłosił z bechowców i mówi: „Ja go przebiję bagnetem”. A „Wybój” mówi: „Dlaczego?”, a on mówi: „Bo oni wymordowali moją rodzinę”. To „Wybój” mówi: „To zrób swoje”. I ten trzepnął bagnetem go, zabił tego czwartego Niemca, rannego. Więc jeśli to była wojna na... A co oni by robili, gdyby nas zostali dowodzeni przez Niemców?

Więc nie było potrzeby litości nad nimi. A tych 17 otoczyli, rozbrojonych i zabrali w pewne miejsce, gdzie ja na drugi dzień przybyłem. Przybyłem, przyprowadził mnie taki Kaszub, który gdzieś z okolic Kartuz, z miejscowości Pogódka, jak się po różnych perypetiach dowiedziałem, wymordowali mu Niemcy rodzinę, a on zwiął i się raptem znalazł koło Warszawy i w oddziale „Wyboja”. On mnie przyprowadził tam w pewne miejsce w miejscowości Cygów, gdzie ich rozwalili, tych 17 własowców, a ja stałem w tych małych wierzejach z karabinem i bagnem na tym, i stary zapowiedział, że jak będzie który uciekał, to mam go przebić albo zastrzelić. To myślę, jak będzie uciekał, to przecież ja nie będę uciekał, tylko on. Ale nikt nie uciekał, bo nie wiem, czy to trwało dwie minuty. I nim to się skończyło, to „Wybój” wybiegł do mnie i mówi: „Zostaw to”. Widocznie już było na tyle jasne, że nie jestem potrzebny i mówi: „Uspokajaj tych sukinsynów, bo chcą granatami rzucać na tamtą stronę”. To tych wybojowców śpiących obudziły strzały i ja musiałem ich uspakajać, że to nasi strzelają, że im nic nie grozi, a oni za granaty łapali przez sen i chcieli na drugą stronę stodoły walić, bo to w stodole się u jednego odbywało. I jakoś to uspokoiłem, uspokoiłem tych kilku takich zdezorientowanych. Ale już było po wszystkim i we dwóch wyznaczono takiego Zajęca, których dwóch braci, młodszego z mojego rocznika, taki przyjemny chłopak był i wysłano nas pod taki mostek, że jakby tam Niemcy jechali, to mamy stawić jakiś opór i dać sygnał. Myśmy zajęli jakieś 30-50 metrów w zbożu, w życie stanowiska i obserwowaliśmy to przez jakąś godzinę czasu. Potem przyszła zmiana, bo oni ich wywozili i zakopywali w miejsce, o którym nie wiem, tylko wiem, że przy torowisku to było kolejowym, ale gdzie, to nie wiem do dziś dnia. Zabrano im wszystko. Całe uzbrojenie, maski gazowe, chlebaki, co zwykle wojsko ma. Cały majątek zabraliśmy. Kilkadziesiąt granatów, kilka tysięcy... Na drugi... I tego jeszcze dnia nocowaliśmy tam właśnie na tej Czubajowiznie u takiego rolnika, którego cała rodzina była w AK. I on właśnie tam... Jeszcze był podział tej broni i w równej mierze podzieliliśmy się tymi dwudziestoma paroma sztukami broni. Więc nam się dostał jeden RKM sowiecki, Diegtiarow Piechotnyj i jeden karabin szturmowy, taki pół automatyczny, sowiecki i ze 20 karabinów. To z dziesięć karabinów nam się dostało, tam rakielnica, parę pistoletów i dużo granatów. Przeważnie to były granaty niemieckie, ale były i węgierskie zaczepne, które miałem, dwa zaczepne węgierskie granaty. Wszyscy zostali regulaminowo uzbrojeni na jakieś 40 ludzi w plutonie „Wyboja”, a ja dostałem Mausera, z którego mało strzelano, w kampanii wrześniowej, rocznik 1937, radomiaka dostałem. I z tym radomiakiem byłem przez cały okres akcji „Burza” niedługo, bo akcja „Burza” trwała u nas od 26. gdzieś do 8 sierpnia, bo już przychodzili Sowieci, byli w pobliżu. Gdzieś tam, powiedzmy, jeszcze ze 20-30 kilometrów. Więc co tam taka była ciekawa historia, więc zyskaliśmy dużo tego uzbrojenia, było ono na trzy wozy gumowe załadowane i podzielone z bechowcami zgodnie, bo oni pomagali w tym wszystkim. Ich oddział odszedł, a zostawili nam uzupełnienie swoje złożone z sześciu czy ośmiu ludzi. Ich dowódcą był taki sierżant, podchorąży czy coś, nauczyciel wiejski, mocny taki, zbudowany facet, inteligentny i oni zabrali swoją broń, i też odeszli stamtąd. Tak że myśmy już ich raczej nie spotkali,

bo oni w czasie akcji „Burza” byli o parę kilometrów od nas.

**Tomasz Sudół:** A jakie jeszcze akcje były w czasie...

**Mieczysław Chojnacki:** Więc tam na miejscu pozostaliśmy jeszcze parę dni u tego gospodarza o nazwisku Wytrykus, a pseudonim mam zapisany, ale nie pamiętam. To zostało zabrane do naszych schronów na Czubajowiznie, gdzie były trzy dobrze ukryte ziemne schrony w takich piaszczystych wydmach. A następnym takim incydem właściwie, po dwóch dniach było złapanie 20-paroletniej podejranej osoby, dziewczyny, która w Poświętnym, to taka kościelna wieś z kościołem, a obok kościoła to była taka gospoda Kominków, rodziny. I to była rodzina mocno związana z AK, bo córka gospodyni, gospodyni, bo to wdowa była po kowalu i jeden syn, byli w AK. Oni często kwatrowali tam część przynajmniej oddziałów „Wyboja”. I teraz dwóch kolegów od nas wybrało się tam, nie wiem, po co, w każdym razie byli w tej gospodzie. A nie, oni jakiś taki patrol mieli w terenie, w ciągu dnia, bo to był teren już przez nas opanowany mniej więcej i gospodarz jakiś podszedł, i powiedział, że tam jest podejrzana osoba, która wypytuje o partyzantów. To oni tam poszli i rzeczywiście taką dosyć podobną, ja jej nie widziałem, młodą i ładną kobietę zatrzymali, a ona poła gospodarzy wódką. Gospodarze chętnie pili. Nie bardzo chcieli mówić, bo każdy wiedział, o co chodzi. Podszedł do niej Zbigniew, zastępca „Wyboja”, o dwa lata starszy ode mnie i taki starszy kolega gimnazjalny z Sierpca, bo tam trzecia część tego oddziału to byli z Sierpca chłopaki wysiedleni. I podszedł do niej i mówi: „Jak panią tak interesują partyzanci, to my panią tam zaprowadzimy”. I ona wtedy tak jakoś się poczuła niepewnie. Raptem szukała partyzantów, a tu raptem nie miała chęci iść tam. Jakieś wykręty były, to oni dobyli pistolety i zmusili ją do wstania i pójścia z nimi. Jak przyszli, to od razu do takiej piwniczki ziemnej, jak to na wsiach mają, z kamieni pobudowane, tam ją wsadzili i tam była chyba ze dwa dni. Wysiedlana tam była matka z córką u tego gospodarza z Bydgoszczy i ta córka zyskała, jej nosiła żywność tam, a trzeba ją było tam na spacer wyprowadzać przecież, jak siedziała dwa dni i jadła, to trzeba na jakiś spacer, to tam dwóch z nią szło i przyprowadzało z powrotem. Ja tam stałem, tylko jedną wartę miałem przy tym. To wiadomo było, że trzeba przy tej budzie tam stać, zamkniętej na kłódkę. Ona zachowywała się spokojnie. A nasi przez ten czas sprawę badali. I sprawa zaprowadziła na Aleję Szucha w Warszawie. To była wywiadowczyni ich. Przyszedł wyrok, kara śmierci i ten wyrok wykonano, gdzieś na między wykopali chłopaki najpierw grób, a potem ją niby wzięli na ten taki normalny spacer i jak weszła na ten dołek, to strzelił któryś w głowę i koniec. To był taki incydent. A później, jeszcze to przed akcją „Burza”, to przed 26. już wróciliśmy na swoje leże, do tej rodziny Kurków, na naszą główną kwaterę. I tam była taka stara stodoła, bo było rumowisko po gospodarstwie, takie niewielkie, cegiel, widocznie spłonęło w czasie wojny, czy może było ze starości rozebrane, ale tę stodołę my nazwali fortecą. Tam często nocowało się. Tam, jak nie było akcji, to zawsze był RKM z obsługą i tam jeszcze paru ludzi. I to wszystko się żywiło u Kurków. Jak przyszło nas tam kilkunastu ludzi, to niektórzy poszli do swoich rodzin w pobliskich wsiach, a nas tam zawsze ośmiu, dziesięciu było takich, że szło się na obiad i śniadania do Kurków. I te krowy to leciały dosyć szybko, bo Kurek pomagał im się ulotnić. Po prostu z tego żył. Nie tylko z gospodarstwa i cała rodzina była bardzo taka solidna. I liczna. Było sporo kobiet, bo jak wyżywić nieraz kilkunastu chłopca i to po dwadzieścia parę lat czy 20. I wtedy dostali meldunek, że idzie oddział własowców, znów tych własowców, w sile około 22-24 ludzi, bez Niemców, z oficerem swoim. I oni tam troszkę baraszkowali w jednej wsi i nie wiem, czy „Wybój” dostał taki rozkaz, czy sam się zgłosił, że on ten oddział odprowadzi, chyba tam, gdzie i poprzedni, i zgłosił się do nich. Przyprowadził ich do tej fortecy, stodoły i oni tam sobie troszkę spali. A u nas mieli naradę, czy



ich otruć, czy ich zabić. Ale otruć to mogli tych, co przyniosą żywność, najpierw kazać im zjeść, więc to było ryzykowne. Więc postanowili ich wprowadzić w zasadzkę. Jak postanowili sprowadzić w zasadzkę, a już się słonko zbliżało ku zachodowi, to alarmował nas, 15 postawiono pod broń i musieliśmy kilka kilometrów przejść właśnie pod taką miejscowość Cygów. I tam na skraju lasu założyliśmy zasadzkę. Ja byłem mniej więcej pośrodku tego ugrupowania. To był skraj lasu, ale zarośnięty takim zagajnikiem gęstym, szerokości może dziesięciu kroków, może nie, że nawet o pół metra czy o metr od skraju to już mnie nie było widać, jak się schowałem pod krzaka sosnowego. I tam leżeliśmy, czekając na nich. Zajęliśmy tę pozycję nad strumieniem, który przebiegał ode mnie o jakieś dziesięć kroków. To była rzeczka Rządza, która tam była dosyć wąska, może miała kilka metrów szerokości i robiła taki łuk, gdzie były krzaki. A z przeciwnej strony był łąk zboża i prawe skrzydło nasze opierało się o łąk żyta, a ja byłem pośrodku. Dalej jeszcze, obok mnie był RKM z obsługą trzech ludzi i dalej jeszcze tam dwóch, może trzech ludzi było, końcowe takie skrzydło. Żeby teraz jakoś uchronić, zbliża się mrok, to żeby jakoś uchronić tego „Wyboja” przed śmiercią, żeby od własnych kul nie zginął i czy go puszczać. Jak będą odchodzić, mogą chłopca zastrzelić. On takie ryzyko podjął dosyć poważne. Mieliśmy „Meśka”, takiego łącznika, który miał 16 lat, jeszcze się nie golił i taki tam „mesiek” mu tu, no i „Mesiek” był. „Mesiek” wlaź na brzozę i obserwował. Raptem zaczął gwałtownie schodzić i mówi: „Idą!”. To czekaliśmy na nich i całe szczęście, oni puścili „Wyboja”, jak już widzieli las. On się skrył w zboże i szedł w naszym kierunku. I całe to mieli szczęście, że ja już dobrze przyrządów celowniczych nie widziałem na karabinie. I inni pewno też. Ale też i mieli pecha. Pewno niektórzy przez niedbalstwo, bo pistolet maszynowy się zaciął, sten, po paru seriach. Oni podeszli do nas jakieś kilkanaście kroków, a szperacze to szli ode mnie nie dalej jak siedzi nasz gospodarz. Może z metr dalej. I nie widzieli. Nie widzieli. Ja myślę sobie: „O, jak się tyko ruszą, to już ich mam”. I tutaj ten RKM koło mnie i trzech chłopaków przy nim, i oni minęli te nasze stanowisko i poszli dalej. A czołówka nadchodziła i też była na jakie dziesięć kroków od nas, i dostali ogień wtedy. Tylko że tamci, co przeszli, szperacze niezaczepiani, rzucili na stanowisko RKM-u, obok mnie, granat. Całe szczęście zaczepny. I on prawdopodobnie zasypał magazyn kołowy i RKM zamilkł. Tylko był ogień broni pojedynczej, a ten taki stary żołnierz, który szkolił w podoficerskiej szkole tych wybojowców, tak się jakoś stremował, że nie umiał użyć tego szturmowego karabinu. Mówił: „Zaciął się”. Dopiero jeden brzydki mu zwrócił uwagę tak ordynarnie, mówi: „Ty taki, owaki, to nie widzisz, że zabezpieczony jest?”. Ale już po całej akcji, ani razu nie wystrzelił, wrześniowiec. I to jeszcze ze zwiadu 4. czy 6. dywizji od generała Bołtucia. Brał udział w bitwie, tej kilkunastodniowej. To takie trochę humorystyczne, ale się dobrze skończyło. I oni stracili trzech zabitych tylko, a ilu rannych, to my nie wiemy, ale zwieli. Zwieli chyba tam któryś może i oberwał. I przypadli w ciemności. Tak że zasadzka się właściwie nie udała, bo połowa ich powinna zostać na miejscu, ale to... To trwało, ja dłużej opowiadam, jak to trwało. I raptem wychodzi z łąku „Wybój” i się pyta, czy wszyscy jesteśmy, bo to za krótko trwało. To było tak i tak, tak i tak, tak i tak. Tak się złożyło, że za ciemno, że to, że owo i już. To była taka znów akcja i wróciliśmy do swojej tam jeszcze w nocy kwatery, do tej fortecy, do tej stodoły, tam się przespałem i z innymi i otrzymaliśmy rozkaz, bo to był chyba już blisko 25. Coś już „Wybój” czuł nosem, że coś się dzieje i na drugi dzień skoro świt postawiono nas na nogi i od Kurków wymaszerowaliśmy. Przed tym był taki, przyszli z Wołomina, kilka osób, trzy kobiety, które takie prawdopodobnie były łączniczkami albo szyfrantkami, ale jedna niosła kilka litrów spirytusu w torebce, potem jedną butelkę to chłopaki wypili, bo jakoś nie wiem, czemu, mnie dała, żebym ja ten bagaż wódczany, spirytusowy niósł. I podeszli tam tacy, „Żydek” i ten. Jeden miał pseudonim „Żydek”, bo taki miał długi nos, spod łodzi. I proszę was, wypili ten spirytus, a potem butelkę stłukli, mówili, że ja się tam potknąłem czy coś takiego. Ale mi odebrali ten ładunek, ten cały, byłem z tego zadowolony. To szliśmy kilkadziesiąt... ja wiem, może około 20

kilometrów w dzień już, nie kryjąc się, bo ludzie byli tak wyszkoleni, że jak nadchodził taki oddział, to się odwracali plecami. To my już mówiliśmy: „Nie musisz się odwracać od nas. Możesz sobie patrzeć”. Jakaś sytuacja była zmieniona i doszliśmy, proszę was, do takiej wsi, gdzie trzeba było przez tory iść, przez tory kolejowe Warszawa - Białystok i Wilno. I szliśmy w dzień, w samo południe przez taką wieś Chrzęstne, zatrzymaliśmy się troszeczkę na odpoczynek. Mieliliśmy dwa wozy taborowe wyładowane żywnością. Aha, w międzyczasie nam zabili dwóch chłopaków, „Żydka” i tego Kaszuba. W czasie nalotu, jak zostali do Tłuszcza wysłani przez...

**Tomasz Sudół:** „Wyboja”?

**Mieczysław Chojnacki:** Przez „Wyboja”, po prowiant do Tłuszcza. I ich tam pochowa... Nie, to było, już nie, nie. Później to było. Więc doszliśmy w pobliże Tłuszcza od tego Chrzęstnego i słychać było salwy katuszy gdzieś w stronie Wołomina. To tak rzeczywiście, jakby grad bębnił po szybie, bo to było 12 luf, jak huknęła taka bateria, to grało to tam gdzieś w oddali, z pięć kilometrów od nas i myśmy w tamtą stronę szli. Ale to było dalej, bo to było gdzieś w rejonie Wołomina, nie Tłuszcza. To było dalej z dziesięć kilometrów, ale widocznie tak niosło echo. I doszliśmy do skraju lasu. Tu kazali nam się, naszemu plutonowi rozwinąć w tyralierę i wiadomo, załatwić pewne swoje potrzeby, żeby pęcherz był pusty, bo jak trafi pocisk, to go rozerwie, a tak to jeszcze można chłopą przywrócić do życia. Tak samo w żołądek, od razu gnój w brzuchu, nie. Trzeba było się tam, kto potrzebował, to wypróżnić. Ja tak mówię, jak jest w regulaminie nawet zapisane, że tak powinno być, że żołnierz powinien iść wypróżniony do akcji. Przygotowaliśmy się, jak to mówią, oderwani od postawy wyjściowej. To trzeba zawsze przypuszczać, że nieprzyjaciel ma pod obserwacją podstawę wyjściową. Na pewno jest tam w Tłuszczu jakiś obserwator, co skraj lasu obserwuje. Może jest gdzieś artyleria. Nie wiedzieliśmy dobrze. I rozpoczęliśmy natarcie na Tłuszcz. Wskoczyliśmy z lasu, biegło się ze 100 metrów i padało, a potem co jakieś 20 kroków się padało i to było... Jak się to zatarcie zaczęło, to przeleciał nad nami samolot nierozpoznany przez nas, ale nas nie pobłogosławił, tylko poleciał sobie w diabły. Myśmy za nim nie strzelali. Doszliśmy takim natarciem do Tłuszcza i nikt do nas nie strzelał. Więc przeszliśmy ogrodami w pobliże stacji w Tłuszczu i tam z drugim kolegą, już nie pamiętam, którym, znalazłem się w centrum tego miasta Tłuszcza przy takiej z desek zbitym mieszkaniu przy spółdzielni w Tłuszczu, wyszła młoda kobieta i powiedziała, że Niemców nie ma już, wyjechali samochodem, żandarmi ostatnio i Niemcy opuścili Tłuszcz. To w takim razie jedni z nas poszli na stację z karabinem maszynowym, a nasza drużyna poszła na przejazd i tam drużynowy mnie wysłał, nie powinien jednego, ale było nas mało, wysłał mnie jednego wzdłuż toru w stronę Warszawy parę kilometrów do wsi takiej Jasienica, żeby się dowiedzieć, czy tam są nasi. Ja tam poszedłem w pewnym kierunku, ale tak to mi się wydawało, że to dosyć daleko, więc postanowiłem się spytać w jednym takim odosobnionym domku, czy to daleko do tej Jasienicy. I tam przy domku, tak w polu pracowała też mama takiego 10- czy 12-latka i mi zaczęła objaśniać, ale mówi: „O, tutaj synek stoi, który przebiera nogami, to pana tam podprowadzi”. I ja się na to nierozsądnie zgodziłem. Ale myślę sobie, to on wie. I jak tam podeszliśmy z pół kilometra, to się pokazały doły i tego chłopca wróciłem. Niedaleko odszedłem, bo spotkałem dwóch partyzantów z innego oddziału, z kompanii radzymińskiej. Tam byli w tej Jasienicy moi koledzy właśnie z Radzimina. Więc rozmówiliśmy się, rozpoznaliśmy się i ja nie szedłem już tam, tylko powiedziałem, że Tłuszcz jest zajęty przez nas. Wróciłem z powrotem, złożyłem tam meldunek i temu drużynowemu, który mnie wysłał, bo nie był on dowódcą drużyny, bo tam każdy prawie był podoficerem w tym oddziale. I potem musiałem złożyć „Wybojowi” meldunek w głębi Tłuszcza z tego, co ustalono. Raptem, jak wróciłem, na stacji padły strzały z karabinu maszynowe-

go. A tam było trzech. Jednym z załogi był ten „Mesiek”. I ten „Mesiek” został przy karabinie maszynowym przez moment, bo tam coś odeszli na chwilę. Czuli się bezpiecznie. A tu parowóz pancerny nadjechał i „Mesiek” zaczął grzać z parudziesięciu czy tam 150, czy 100 metrów do tego parowozu. Więc myśmy padli na tym przejeździe przy torach i przygotowaliśmy się do ostrzału, ale parowóz jak dostał z RKM-u ogień, to dał kontraparę i odjechał. To był niemiecki parowóz pancerny. I potem przez cztery dni kalendarzowe mieliśmy za zadanie nie puścić, bo już powstanie w Warszawie wybuchło i to było zajęcie Tłuszcza gdzieś 30 sierpnia, była niedziela, ludzie do kościoła szli. A w dwa dni po tym było powstanie w Warszawie, dowiedzieliśmy się, że radiostacja tam, sowiecka Wanda, nawoływała do powstania. To nam przychodził i opowiadał „Wybój” o tym. Więc tam mieliśmy straty, pod koniec tego czterodobowego, powiedzmy, zajmowania Tłuszcza trzepnął pocisk w taką grupę żołnierzy z Niwisk, wiejską, ich dowódcą był taki sekcyjny Józef Grabowski, 23 lata i leżał, ja wiem, jakieś dziesięć kroków od nas, bo pocisk głowę mu zupełnie rozniósł. Dotąd nie było nic. To były żdźbła gdzieś rozpylone. I...

**Tomasz Sudół:** A co to był za pocisk i kto strzelał?

**Mieczysław Chojnacki:** Słucham?

**Tomasz Sudół:** To Niemcy strzelali, tak?

**Mieczysław Chojnacki:** Niemcy z pociągu pancernego, bo im tory rozebrano, na rozdrożu do Białegostoku i do Wyszkowa. Tam na tym miejscu im rozebrano tory i oni wysadzili, bo w pociągu pancernym jest obsada broni, są kolejarze i jeszcze tam grupa inna, łącznościowców czy coś takiego. I oni wychodzili, ci kolejarze, mundurowi i starali się naprawić ten rozjazd. I wtedy dostawali od nas ogień. Tam mówili, że wlekli tam któregoś, ale myśmy stracili chłopaka i paru rannych podobno. Jego nazwisko doszedłem. 23 lata, Józef Grabowski, pseudonim „Grab”. Ale nie wiem nic o jego kolegach. Ludzie też są jacyś tacy, że powinni wiedzieć, tym bardziej, że z Radzymina był sygnał, że jest ktoś taki, co te rzeczy spisuje i żeby sołectwa i szkoły były powiadomione i nawet parafie, żeby to ogłosiły. I wiecie, ilu ludzi się zgłosiło? Jedna osoba. Kobieta, córka akowca, który był w Tłuszczu przez pewien czas komendantem i ona dostarczyła dokument ciekawy, gdzie pokazane są szkoły podchorążych w powiecie, w których miejscach były te kursy. I to uzyskaliśmy, jak pojechałem osobiście, bo napisała taki list do Towarzystwa i tam pojechałem, Ząbki, nie Ząbki, coś takiego i ten dokument dostałem, ale był tak lichej, że oddany został do tego Archiwum Akt Nowych, tam koło tej...

**Tomasz Sudół:** Banacha.

**Mieczysław Chojnacki:** Tak, tak. I tam się nim zaopiekowali. Ale odczytać było można.

**Tomasz Sudół:** A niech mi pan powie...

**Mieczysław Chojnacki:** I potem nastąpiło właśnie wycofanie z Tłuszcza, bo...

**Tomasz Sudół:** Po czterech dniach, tak?

**Mieczysław Chojnacki:** Słucham?

**Tomasz Sudół:** Po czterech dniach.

**Mieczysław Chojnacki:** To były cztery dni kalendarzowe. Pierwszego dnia część dnia i ostatniego dnia też część dnia. Cztery dni kalendarzowe, ja mówiłem, to by były trzy doby z kawałkiem.

**Tomasz Sudół:** Jasne, ale to był jakiś 3 sierpnia, tak? Coś takiego?

**Mieczysław Chojnacki:** Słucham?

**Tomasz Sudół:** To było 3 sierpnia wycofanie się z Tłuszcza?

**Mieczysław Chojnacki:** Z Tłuszcza 2 sierpnia gdzieś po południu. Gdzieś po południu. Wtedy oni rozpoznali, bo oni cały czas, prawie co dzień, chyba jednego dnia mieliśmy spokój, oni prowadzili rozpoznanie. I starcia były krótkie. Tam jednego dnia, nie wiem, którego, bo to już zapisane jest, ale nie pamiętam dobrze. Chyba Żyk, erkaemista, chyba go trafił, bo mieliśmy dosyć różnego rodzaju pocisków do RKM-u, i zwykłe, i przeciwpancerne, i świetlne, i zapalające, i on taką miał diabelską, sporządził mieszankę do tego, że tam były dwa pociski, powiedzmy, przeciwpancerne, a jeden zapalający i znów, dwa pociski przeciwpancerne i to. I tam z jednego samochodu pancernego mówiono, że obserwowali, taki czarny dym wypuszczał i się wycofały te trzy samochody pancerne. A oni rozpoznanie robili. I ciągle ten sam oddział, ten sam karabin maszynowy strzela, bo oni po rodzaju ognia poznawali, jaka to broń strzela. Na pewno wiedzieli, że sowiecki RKM. Napadli na nas, ten pociąg pancerny i tam były trzy samochody pancerne i kilka czołgów, i chyba kompania tak zwana grenadierów pancernych, a nas było trzydziestu paru. Więc nie było nic innego, tylko się wycofać do sąsiedniego lasu, z którego robiliśmy natarcie na Tłuszcz. A już dalej nie szli, tylko mieli... Jacy to byli strzelcy, to tylko tyle powiem, że na przestrzeni prawie kilometra to mijali nas na podmokłej łące, szliśmy w tyralierze, z powrotem biegli do tego lasu i potem przez taki strumyk przebiegliśmy, potem wpadliśmy do lasu, i mówili, mogą nas pocałować teraz, niech idą z czołgami. To tak jak już się schowaliśmy i byliśmy panami sytuacji. Nikt ranny nie został.

**Tomasz Sudół:** A strzelali?

**Mieczysław Chojnacki:** Strzelali, psia krew, z ciężkich karabinów maszynowych i z dział strzelali, i z pociągu pancernego strzelali. I tam woda gdzieś tam tryskała tam. Nieraz coś psiuknęło i cicho. Ale jak się ma trochę szczęścia, to...

**Tomasz Sudół:** Tak, może to też nie były jakieś...

**Mieczysław Chojnacki:** A może im się ręce trzęsły. Helden – bohaterom. Oprócz tej służby, takiej ochronnej, to znaczy bojowej, to nasz oddział pełnił jeszcze służbę wartowniczą w Tłuszczu przy budynku takim spółdzielni, gdzie tam

było zaplecze, gotowali nam, panie gotowały obiady, śniadania. I tam była wartownia nasza, tam było dowództwo 32. Pułku AK. Major Jok ze swoim tam sztabem był. Tam przetrzymywali Węgra o imieniu Isztwan Stefan, saper, który po wycofaniu nas odnalazł, bośmy o nim zapomnieli, odnalazł nas i powiedział, że ja jestem polski partyzant i nie można było go się pozbyć, skoro tak mówił. Nie miał złych zamiarów. Później otrzymał z powrotem swoją broń, to tam w paru słowach można będzie powiedzieć, jak się nasz oddział rozwiązywał, rozpraszał, to jego zostawiono z dwoma kolegami i też tam go ukryto. Jaka dalsza była jego kolej losów, nie wiem. Nie wiem. Wiem tylko, że Isztwan był, pomagał nam robić cztery miny, każda po dziesięć kilo plastiku, bo był zamiar podłożenia pod ten pociąg tych min. Tam mieliśmy ruszyć w kilkunastu na ubezpieczenie, mieli to zagrzebać i przefuknąć tego czorta, pierona. Ten pociąg pancerny, żeby nie pojechał na Warszawę. Ale za późno o kilka godzin przywieźli nam te 40 kilogramów trotylu. Robiliśmy to, „Madziar” nam pomagał, to, jak mówiłem, był saper i tam nie był ten kapral Brzozowski, też saper, to szło dosyć... A ja wyrabiałem plastik i dawałem im tam to. 40 kilogramów tego miało być. To by ich diabli wzięli, psia kość. Szkoda. Tyle roboty i na nic. I potem strzelał do Warszawiaków. A tak by nie strzelał. Po co tak było marudzić? Posłali furmankę do naszych schronów tam na Czubajce. To było te 20 kilometrów, trzeba było w jedną i drugą stronę pospieszać. Ale tak się stało, jak się stało.

**Tomasz Sudół:** Bo to już było po tym wycofaniu się z Tłuszcza, tak?

**Mieczysław Chojnacki:** Tak, tak. To ten został tam i jeszcze chyba jedna rzecz była, jak mi się przypomniało, to tutaj... Aha, i tych dwóch zabitych. Tych dwóch zabitych, to było przed wycofaniem się z Tłuszcza, przed pójściem na Tłuszcz. Oni stracili życie, tak. Bo nam przywieźli furmankę wyładowaną dobrymi rzeczami. Tam były połówki świni, tam było chyba z 15... taka beczułka miodu, tam było masło, tam była słonina, tam były takie wielkie bochenki chleba zlane krwią tych naszych kolegów, to myśmy ten chleb myli z krwi, potem jedliśmy ten chleb.

**Tomasz Sudół:** A co im się stało, w jakich oni okolicznościach...

**Mieczysław Chojnacki:** Słucham?

**Tomasz Sudół:** Oni zginęli od bombardowania samolotu, tak?

**Mieczysław Chojnacki:** Więc to było w ten sposób, jak ich wysłali, to pojechał ten Żydek i ten drugi, i obaj byli przyjaciółmi wódki. Tam pewno w Tłuszczu ich dobrze ugościli. Nie spieszyło się im bardzo, sobie jechali, a Sowieci wtedy bombardowali. Bombardowali, nie wiem, czy Warszawę, ale w każdym razie zrzucali bomby nawet w Jarzębiej Łące, takiej przy torze leżącej wsi z przystankiem kolejowym. Oni dojeżdżali do przystanku kolejowego w nocy, samolot sowiecki leciał i zrzucił dwie bomby. Jedna z jednej strony wozu upadła, a druga z drugiej strony wozu upadła. I ona jednego zabiła na miejscu, bo dostał po głowie i po piersiach, a drugi dostał po kończynach i on z upływu krwi umarł. Ale który, to już nie powiem. W każdym razie konie się zatrzymały, bo były lekko ranne. Były spłoszone, odbiegły i to było z pół kilometra albo lepiej, już od majątku Dębinki, gdzieś mieli swoje kwatery i ochraniały sztab podokręgu z pułkownikiem Szeligą. Bo nasz oddział był dobrze uzbrojony. Uzbrojony był, ja miałem rewolwer taki o kulach ołowianych, prawie dziesięć i pół milimetra kaliber, to każdy strzał z bliskiej odległości to było ciężkie

kalectwo albo śmierć. Miałem do tego koło 15 sztuk amunicji i tam sześć się mieściło. Oprócz tego każdy z nas miał albo rewolwer, albo pistolet. Oprócz tego każdy miał broń długą. I oprócz tego każdy miał regulaminową ilość amunicji do karabinów. Bośmy to zdobyli własnym takim, no „Wyboja” energią...

**Tomasz Sudół:** Na tych własowcach, tam na tym...

**Mieczysław Chojnacki:** Na tych własowcach i tam oni mieli broń rzutową, ale broń rzutową to przekazywali do Warszawy. To zwykle przyjeżdżali po ziemniaki i tam jeden był rzut, to Warszawa zabrała. Warszawa zabrała, pod kartofle schowali, mieli tam jakieś mundury, nie wiem, czy co takiego, bo nie byłem przy tym i jeszcze nie byłem w oddziale i ten rzut zabrali. Jeden jedyny rzut w tamtych okolicach, chociaż było rzutów, rzutów było 16, przyjętych na całym obwodzie, jakby powiecie, a 15 było niewykonanych. Albo wiatr był przeciwny i musieli do Włoch zawracać znad Jugosławii, bo by nie dolecieli z powrotem, albo powiedzmy, z Wielkiej Brytanii, to chyba dwie załogi zestrzelili i tam się potopili chłopaki. Nieraz i Anglicy często też lecieli, to tam ja mam to opisane, jakie załogi były. Mam te dane, z jednej książki spisałem. I proszę was, panowie, ci...

**Tomasz Sudół:** To już powiedzmy, wróćmy do tego wycofania się z Tłuszcza. Jak wyszliście...

**Mieczysław Chojnacki:** No dobrze, ale tutaj jeszcze z tym. Więc myśmy z tym zrobili porządek i z pogrzebem. Pogrzeb odbył się na drugi dzień. Na drugi dzień był ksiądz z sąsiedniej wsi. Krótką taką przemowę powiedział, nie wróżył nam dobrze, co się potem uśmiełi trochę chłopaki. „Wybój” mówił, że by lepszą gadkę wstawił. No ja byłem... część wokół zamku musiała chronić dowództwo 8. Dywizji Piechoty AK, a tam kilkunastu z nich, z nas pełniło taką ostatnią posługę, sprezentowaliśmy broń, ale nie strzelali, bo pół kilometra byli niemieccy saperzy przy moście, więc nie chcieliśmy robić szumu w dzień. I wysłali mnie z Gutowskim Henrykiem, Sierpczaninem i moim kolegą z gimnazjum, wysłał „Wybój” nas, żeby gospodarz w Jarzębiej Łące o nazwisku mi znanym, tylko w tej chwili mi nie przychodzi do myśli, stolarz z zawodu, żeby zrobił szybko dwie trumny. Dał nam sporo pieniędzy i mówi: „Możecie jemu to zostawić wszystko. Jak zobaczy, to mu oko zbieleje.”, bo tam chyba było że dwa razy więcej albo że trzy tych pieniędzy niż te trumny. Pojechaliśmy tam i powiedzieliśmy mu tak. Pokazaliśmy, że jesteśmy z AK, że mamy pistolety i granaty, i że będziemy się w razie czego bronić. Bo to było od torów kolejowych, ja wiem, że 30, z 50 metrów. W czystym polu, teraz to jest zarośnięty teren i tam córka mieszka tego stolarza.

**Tomasz Sudół:** I ten stolarz?

**Mieczysław Chojnacki:** No więc na zmianę, z tym „Olgierdem”, taki miał pseudonim, żeśmy pilnowali przy oknie, a zawsze jeden stolarzowi pomagał i to szło sprawnie, to był taki dobrze zbudowany mężczyzna, młody, 30-paroletni i on te trumny upraszczał nieco. To były takie mocno zbite trumnopodobne skrzynki. Szybko mu to szło. Nie rozmawiał nic, tylko takie sprawy stolarskie i to zostało w ciągu paru godzin zrobione bardzo przyzwoicie, tylko już były niemalowane. Tylko niemalowane. Załadowaliśmy to na wóz razem z nim i daliśmy mu pieniądze, nie licząc. On tak spojrział, to aż taki zdziwiony był, ile tych pieniędzy tam i był zadowolony. Raz, że odjechaliśmy, a po drugie, że nie za darmo. Wróciliśmy z tymi trumnami. Ich tam do trumien włożyli, pochowaliśmy ich tak po wojskowemu w pobliżu

kaplicy. W pobliżu takiej kaplicy z Matką Boską. Nad stawem, nad takim właściwie rowem rybnym, a teraz to jest zapuszczone bardzo. Jeden z nich, ten spod Łodzi, „Żydek” tak zwany, został przez rodzinę zabrany na drugi rok, zaraz jak było tylko można się po Polsce poruszać, do okolic Łodzi. A ten drugi do dziś dnia pozostał. Tak jak pogłoski mówiły, nieraz tak koledzy coś, że jemu Niemcy rodzinę wymordowali. On się tak schronił gdzieś tam, się znalazł raptem. Jeśli tak było, to rzeczywiście pechowe było. Taki był mocny chłopak, wysoki, taki fest chłopak. On zawsze odgrywał żandarma, jak się przebrał, doskonale mówił po niemiecku. Ile gęsi odebrali wybojowcy Niemcom, które mieli zjeść, to myśmy zjedli. Tam była jeszcze jedna taka akcja wybojowców, gdzie w miejscowości... no szereg było zamachów wykonanych, ale to wcześniej i nie ma co opowiadać.